

IWONA BURDZANOWSKA

ur. 1960



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	Lublin, PRL, fotografia, aparaty fotograficzne, edukacja

Początki uzależnienia fotograficznego

[Początkowo] zajmowałam się rysunkiem i malowaniem. Łapy zawsze mi się wrywały do ołówka, do farb olejnych. Może trochę mniej do akwareli. Ale zawsze się tym [parałam]. Jakoś tak dziwnie wychodzi, że zainteresowanie fotografią zawsze jest związane z uczestnictwem w jakichś kółkach fotograficznych. Od razu mówię: ja w czymś takim nie uczestniczyłam. Miałam licealnego narzeczonego –najładniejszego chłopaka w liceum (tak mi się wydawało) i na dodatek przewodniczącego samorządu szkolnego. Czyli na tamte czasy szycha i figura. Zajmował się fotografią. Oczywiście jak się ma szesnaście lat i takiego narzeczonego, to najlepiej [zajmować się tym], co [i on].

Ja, widząc aparat fotograficzny, stwierdziłam: „Jezu, to jest na mój temperament” To jest szybsze niż [malarstwo, którym] się [do tej pory] zajmowałam dla przyjemności. Rzeczywiście, [fotografia stanowiła] szybszą metodę zarejestrowania tego, co się podoba. I to był drugi argument za tym, żeby wziąć aparat do ręki. [Odkryłam], jaki można zrobić z tego użytek. A już magia pierwszego samodzielnie wywołanego negatywu, czyli założenia tego do koreksu, rozbełtania tych wszystkich chemicznych odczynników, przeprowadzenie całego procesu i zobaczenie rolki negatywu... [Nie] wiem, czy pierwszy seks dał tyle samo wrażeń, ile wywołanie pierwszej rolki filmu. Chyba nie. To był [początek mojego fotograficznego] uzależnienia. I tak już zostało. Trzeci argument [na korzyść zajmowania się fotografią] teraz może się wydawać kretyński. Wtedy ktoś, [kto] miał aparat, potrafił się posługiwać nim i procesami chemicznymi, panować nad tym, był kimś. Normalnie ludzie szli do fotografa i robili sobie zdjęcie do legitymacji (już nawet nie do paszportu, bo wiadomo, jak było z paszportami). A fotografie [wykonywane] jakimiś aparacjami ([na przykład] smienami [bądź] innymi zorkami) przedstawiały taką jakość, że [człowiek czuł] po prostu rozpacz. Zdjęcia rodzinne właściwie [stanowiły] bardziej wspomnienia w wystrzyżonej w jakieś wzorki rameczce niż zdjęcie konkretnej sytuacji. To jest niewyobrażalne w stosunku do tego, co mamy teraz. Więc fotografia była formą wywyższenia się i

pokazania, że: ja jestem kimś innym, bo potrafię zrobić coś więcej, [bo] mam aparat zawieszony na szyi. Zupełnie inne postrzeżenie.

Z moim pierwszym aparatem [wiąże się] piękna licealna historia. Na komunię wszyscy dostawali druchy (plastikowe badziewie) albo smieny 8 (z plastikową soczewką –ogólnie zawodny, [ale] trudno było to popsuć). Ja tego niestety na komunię nie dostałam. W domu leżał za to beirette –enerdowski produkt. Mój tatuś sobie go kupił. Bo jak się jeździło na wywczas albo do sanatorium, to wyposażenie [na tę okazję stanowił] właśnie aparat. Wtedy [osoba] wyjeżdżająca na wakacje inwestowała rolkę albo dwie [rolki] filmu. [Korzystała z niego przez] rok albo dwa lata, potem zanosila do fotografa i za jakiś czas ([jeżeli] pamiętała) odbierała te zdjęcia. [One] miały [jedynie] zarys wspomnień, bo większej fotografii tam nie było.

[Kiedy] zaczęłam się zarażać tym narzeczonym i fotografią, to nagle się okazało, że w domu jest jakiś aparat. [Więc] przyczynkiem do rozmowy z narzeczonym ([w ogóle do] pozyskania [go]) było przyniesienie takiego [sprzętu]. I jak już jakimś cudem [zdobyłam] tego narzeczonego i [mogłam] zaszpanować na korytarzu w liceum przed koleżankami (które też chciały mieć takiego narzeczonego), [ten] popatrzył na aparat i [powiedział]: „Wiesz, tutaj jest coś zepsute. Ale można to zreperować” Tatuś już położył [rękę] na tym aparacie. Po prostu [mu] kiedyś spadł. A że był plastikowy, [to] coś się [w nim] ułamało. Dlatego był taki felerny. Narzeczony [go] zreperował. [Beirette] działał przez chwilę, potem znowu nie działał. Jedyną metodą, żeby [nim] fotografować, było jego rozkręcenie po przerobieniu rolki filmu. Narzeczony zrobił mi takie malusie śrubokręciki (chłopak parał się też mechaniką precyzyjną, potem zresztą [ja] studiował). I jak ten aparacik nie działał, [to] ja na lekcji na przykład matematyki (albo innej, która mnie nie interesowała) rozkręcałam [go] tymi śrubokręcikami i poprawiałam to, co –według wskazania –należało poprawić. Skręcałam [go z powrotem] i na przerwie już mogłam robić zdjęcia. To było zabawne. [Beirette] służył mi dwa lata, aż wreszcie się rozpadł.

Więc po jakichś dwóch czy trzech latach, jak już wyszło na to, że dziecko musi się czymś interesować, wypatrzyłam sobie w jakimś sklepie fotograficznym aparat Fed. Był solidny, metalowy. Uprosiłam, ubłagałam i dostałam. Na pewno nie za świadectwo, ale dostałam. [Ponadto] na moją korzyść przemawiało to, że mój kochany wujaszek od zawsze się zajmował fotografią i pasjonował się tym. [On] był aż dwadzieścia lat ode mnie straszny, a zachowywał się jak gówniarz. Był [w dodatku] chemikiem, [więc] miał w głowie wszystkie procesy fotograficzne i fotochemiczne. Gdyby się nie [parał] fotografią, to nikt nie kupiłby mi tego aparatu. [Ale] skoro Rysio może, to może [ja] też.

I stąd ta fotografia [w moim życiu]. Tak [wyglądały jej] początki. To były 1976 [rok]. Więc od 1976 do 1989 [roku] upłynęło trochę czasu.

Data i miejsce nagrania	2012-11-06, Lublin
Rozmawiał/a	Marcin Sudziński
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"